

Autor - Maciej Kaczyński
Tytuł - Egzekucja

Egzekucja

Za kilka godzin, wszystko się skończy. Przynajmniej dla niego. Ale lepiej, żebym zaczął od początku.

Nazywam się Wacław Niewiadomski i jestem strażnikiem więziennym.

Kilka tygodni temu, o ile mnie pamięć nie myli, to chyba trzy, dostaliśmy nowego więźnia, tego właśnie który już jutro pożegna się z ziemskim padołem. Ale zasłużył sobie na to. Każdy powinien wiedzieć, że ten który działa wbrew i na szkodę państwa polskiego, które dopiero co odzyskało niepodległość po wieloletnim znajdowaniu się w niewoli, musi ponieść karę. Dlatego też nie miał najlepszych ostatnich dni swego życia. Nie to, żebyśmy się nad nim znęcali, ale też nie spełnialiśmy jego próśb - nie zawsze dostawał posiłki. Nie czuliśmy się winni, ponieważ taka glista nie powinna żyć. Aha, zapomniałem wam powiedzieć, za co ta szuja została skazana. Otóż za morderstwo, a właściwie za dwa. Tyle mu w każdym bądź razie udowodniono, ale było ich z pewnością więcej. Skazaniec nazywał się Józef Minias i, jeżeli tak to można nazwać, zajmował się wiedzą tajemną. Razem z dwoma szkieletami znaleziono bowiem dziwne rzeczy w jego mieszkaniu. Było tam wiele manuskryptów, których wieku nie można nawet podejrzewać, ponieważ napisane są w dziwnych, zapomnianych językach.

Ten człowiek zabijał innych ludzi dla swoich, niezrozumiałych celów. Nie powiem, ponieważ nie żyjemy w średniowieczu, ale być może jego obecność rzeczywiście miała wpływ na urodzaj, a właściwie nieurodzaj w ostatnich latach. Nie do końca przecież poznano tajniki świata. Kurwa mać, co za głupoty gadam, ja - katolik, nie wierzę w żadne gusła. To był po prostu chory człowiek, który powinien ponieść i ponieść, tak mi dopomóż Bóg, zasłużoną karę. Co prawda, konwencje zabraniają wykonywania wyroków śmierci, ale jak dotąd w naszym więzieniu wydarzyło się sporo "wypadków", w których śmierć poniosły tylko osoby skazane przez niezawisły sąd na tę najwyższą karę. Skazaniec chyba się czegoś domyśla, ponieważ cały czas zabiega o wizytę księdza katolickiego. Nie widziałem przeciwwskazań, więc czym prędzej zadzwoniłem do jednego z zaprzyjaźnionych księży. Jakkolwiek był ciężko chory, to jednak obiecał, że wpadnie dziś to wieczorem do więzienia.

O ósmej wieczorem przybył ksiądz Jan Nowak. Nie wyglądał na człowieka oddanego Kościołowi, ale od dawna wiadomo, że nie wolno osądzać po wyglądzie. Gdybym był kobietą, to bym uznał go za przystojnego, ale nie jestem, więc ten temat pozostawię tak, jakby nie był poruszany. Trzeba przyznać, że był do rzeczy - nie jeden z tych nawiedzonych, którzy tylko potrafią mówić, że ludzie są z natury źli, bo tkwi w nich szatan. Nie, on chyba rozumiał, czym jest człowieczeństwo i starał się im pomagać, jak tylko potrafił. A wychodziło mu to nieźle, muszę przyznać. Ksiądz Nowaka znam chyba od sześciu lat, bowiem tyle pracuję w tym więzieniu i jeszcze nie spotkałem się z sytuacją, aby komukolwiek odmówił pomocy i pociechy. No cóż, taki jest jego zawód.

Grzecznie przywitałem się z księdzem, który odwzajemnił mój gest. Nie bawiąc się w żadne ceregiele (był przecież osłabiony chorobą) zapytał się, z jakiego powodu został wezwany. Aby nie przeciągać rozmowy, przedstawiłem mu w jak najprostszych słowach prośbę

skazańca. Poprosiłem także, aby w miarę możliwości dopytał się o jakieś szczegóły dotyczące sekty, a które zostały przemilczane podczas rozprawy sądowej. Ks. Jan obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy (a to znaczy że poruszy niebo i ziemię), aby się czegoś dowiedzieć.

Zostałem sam... cisza... niczym w kostnicy, nie było słycać żadnych, ale to żadnych odgłosów. Mnie to jednak nie przerażało. Bardziej obawiałem się o życie księdza. Bądź co bądź, poszedł w paszczę lwa - wprost do celi Heretyka, który pewnie domyślał się, że niewiele czasu mu już zostało i nie miał nic do stracenia. Nagle, coś do mnie dotarło. Nie było to nic konkretnego, jakby fala ciepłego powietrza, kiedy poczułem, bardziej niż usłyszałem, że stało się coś strasznego. Czym prędzej podniosłem się z fotela i pędem ruszyłem w stronę bloku więziennego C, czyli tam gdzie miał celę ten zwyrodnialec - Minias.

-Uff, to tylko złe przeczucie- pomyślałem, słysząc z daleka monotony głos księdza. Nie słyszałem dokładnie co mówił, tylko jakieś strzępki "...Za.....quan.... śpij.... bowiem... nie..... ..ność".

Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że umilkł, jak tylko zdołał usłyszeć moje kroki. Gdy dotarłem do celi moim oczom ukazał się następujący widok. Pośrodku celi, na podłodze, leżał Minias. Był nieprzytomny. Ponad nim nachylał się ksiądz, który próbował podnieść nieprzytomnego więźnia. Szybko otworzyłem drzwi od celi i pomogłem choremu przetransportować ciało na pryczę. Później spojrzałem na twarz księdza i przeraziłem się. Była cała sina, na czole roiło się od potu, widać że odcisnęła na nim swe piętno choroba, ale także to co się tu stało. Ale właściwie co się stało?

Pytanie to skierowałem do ks. Nowaka, który słaniając się ze zmartwienia powiedział, o tym jak ten skurwysyn próbował go zaatakować, i jak ten dzięki miłosierdziu Bożemu i lekcjom boksu w młodości potrafił znokautować przeciwnika. Ucieszyłem się, gdyż jak widać nie myliłem się co do księdza. On potrafił nie tylko zadbać o innych, ale także o siebie. Nie chcąc przetrzymywać dłużej chorego, odprowadziłem go do samego wyjścia i podziękowałem wylewnie. Na odchodnym ksiądz jeszcze tylko powiedział "Zdołałem się jeszcze dowiedzieć o jednym ich miejscu... Mieli dom na ulicy Roberta Blake'a 17. Mógłby pan tam zajrzeć. Może będzie tam coś ciekawego". Jeszcze raz podziękowałem duchownemu i ponownie pożegnałem się z nim. Odszedł. Jeszcze długo wpatrywałem się w mrok, który zapadł, a który wydawał się ciemniejszy niż zwykle. Kiedy wybiła dwunasta przyszedł do mnie przyjaciel, zmiennik, który miał dokonać zabójstwa, a właściwie wyroku na skazańcu. Ponieważ poczułem nagle ogromne znużenie, szybko zapragnąłem udać się do domu, do którego na szczęście nie miałem daleko, nie czekając na wykonanie wyroku. Gdy już byłem przy samych drzwiach usłyszałem, że więzień odzyskał przytomność i wołał "Jestem duchownym...". Więcej nie słyszałem, bo czym prędzej chciałem dotrzeć do przytulnego domu i położyć się do łóżka. To był naprawdę ciężki dzień...

Obudził mnie telefon. Spojrzałem na zegarek stojący na stoliku przy łóżku. Elektroniczny wyświetlacz wskazywał za kwadrans szósta. To pewnie Michał Malczewski (mój przyjaciel, ten który mnie zmienił) dzwonił, zgodnie z regulaminem, że odnalazł ciało więźnia. Zaspianym głosem do słuchawki powiedziałem: "Halo?"

"Tu Michał. Słuchaj, wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Musisz jak najszybciej przyjechać. Wiesz, więzień, ten Minias, zginął, nie, nie zginął, umarł. W niewyjaśnionych okolicznościach". Zapewniłem go, że

dotrę tam, najpóźniej za dwa kwadransy i zrezygnowany zacząłem się ubierać. Na szczęście Malczewski nie powiedział przez telefon niczego, co mogło nas zdradzić podczas przesłuchań taśm rozmów przez specjalną komisję.

W pośpiechu wyszedłem z domu i już po szesnastu minutach byłem w więzieniu. Wszędzie było pełno zamieszania, jak zwykle zresztą przy podobnych przypadkach. Przede mną przybył lekarz sądowy, który ustalił godzinę śmierci na pierwszą trzydzieści. Według niego więzień zmarł na tzw. bezdech, częstą chorobę wśród dorosłych ludzi. Ponieważ jednak miałem wolne, nikt mnie dłużej nie przetrzymywał i mogłem pójść do domu. I tak też chciałem zrobić, gdy nagle przypomniałem sobie o słowach księdza Nowaka i o kryjówce sekty. Zapragnałem się tam udać, a być może czegoś więcej dowiedziałbym się o zmarłym tragicznie (he, he) więźniu.

Dom przy ulicy Blake'a 17 nie wyglądał okazale. Był to średniej wielkości budynek jednopiętrowy, pozbawiony zbędnych ozdóbek. Nikt, kto by obok niego przechodził, nie zwróciłby na niego uwagi. Ja również, ale wiedziałem dokładnie, że wewnątrz może znajdować się coś, co pomoże policji w ustaleniu zbrodni kultu. Podszedłem do drzwi i instynktownie zbadałem zamek. Dzięki Bogu, nie okazał się trudny do sforsowania. Wszedłem do środka i od razu poczułem się jak w dżungli. Nie dlatego, że były w środku liany i takie tam, bo ich nie było, ale z powodu atmosfery, jaka panowała w środku. Było duszno i ciepło jak w terrarium. Rozejrzałem się po pomieszczeniu i ogarnął mnie strach. Na podłodze było wymalowane coś, jakby koło, a wokół niego znajdowały się dziwne, okultystyczne symbole.

Przeżegnałem się. I spojrzałem na sufit. Tam również znajdowały się te same symbole, a co więcej krag na podłodze i suficie pokrywał się. Co się tu do diabła wyprawiało? Wszedłem dalej i znów się przeraziłem. Uff, to tylko figurka przedstawiająca jakąś maskarę-węża i człowieka zarazem. Okropieństwo. I później mój wzrok padł na półkę z książkami. Mnogość i wiek emanujący od tych opasłych tomisk zahipnotyzował mnie, tak że stałem w nie wpatrzony chyba ponad parę minut. Wreszcie zdołałem przemóc ten czar, który mnie więził i podszedłem do półki z drzeniem rąk. Do ręki wziąłem jedną z tych ksiąg. Była to "Soggoth Jhv Gaa" niejakiego Ludwika z Priamu. Prawdę mówiąc, to nigdy o nikim takim nie słyszałem, nawet nazwa miejscowości była mi obca. Jednak moc płynąca z tych starych, pamiętających jeszcze świetność Rzeczypospolitej obojga narodów nie pozwoliła mi na obojętne odłożenie książki z powrotem na półkę. Musiałem ją otworzyć i po prostu zacząć czytać.

Otworzyłem ją na chybił trafił i zagłębiłem się w lekturze na tyle na ile pozwoliła mi moja znajomość średniowiecznej łaciny (która dzięki Bogu, znam nie najgorzej, chociaż może wolałbym w ogóle jej nie znać, wzięwszy pod uwagę treść zawartą w manuskrypcie).

"... Bóg umarł... nie wiadomo kiedy, ale jest prawdą to twierdzenie, umarł albo nas opuścił. Nie jest to ważne. Ale zamiast Niego przybyło na naszą planetę wiele istot równych Bogu swoimi mocami. I przyszła by Apokalipsa, gdyby ludzie nie opamiętali się i nie zaczęli by zresztą to znaczenia czy ktoś mi uwierzy, czy nie. Ja sam zaufałem jednej z tych istot, która nawiedziła mnie podczas nocy i przeniosła mnie do swego uniwersum. Boże, jakie to było niesamowite doświadczenie. Od tamtego czasu służę Mu jak tylko najlepiej potrafię i cieszę się łaską Pana Łowów. Dlatego też jeżeli wy...". Dalej już nie chciałem czytać. Z resztą nie było po co. Przecież to tylko bredzenia jakiegoś heretyka średniowiecznego, który czcił pogańskie bóstwa. I wtedy w mojej

głowie zrodził się doskonały pomysł- należy uchronić innych przed tymi plugawymi księgami poprzez zniszczenie ich. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Rozpocząłem od rozpalenie ogniska w środku kręgu na podłodze. Wziąłem szeroki zamach i wrzuciłem manuskrypt do ogniska. Chwilę później sięgnąłem po kolejną księgę. Moja ręka trafiła na gruby, skórzany tom o tytule "Almanach kultów i religiji według Jakuba de Verdeques". Moje oczy przykuła zakładka umieszczona mniej więcej pośrodku książki. Z drżącymi z obrzydzenia rękami otworzyłem księgę i zacząłem czytać:

"...Wśród ludów prymitywnych Ameryki południowej i środkowej, istnieje bóstwo zwane Ygiem. Według Ghana- wodza plemienia, z którym rozmawiałem Yg jest patronem węży. To on je stworzył i im dowodzi. Przy tym opowiedział mi pradawne podanie, według którego Yg przybył na Ziemię wiele wieków temu, gdy nasza planeta była jeszcze pozbawiona wszelkiego życia. Niedługo później na Ziemię przybyli inni, jemu podobni i zaczęli walczyć ze sobą o prymat nad tą planetą. Podczas całych tysiącleci wojen wiele z pośród tych istot zginęło, albo zostało uwięzionych. Tak stało się z przerażającym Cthulhu, który został uwięziony w zatopionym mieście R'lyeh na kontynencie Mu. Jednak Yg przetrwał, a nawet zwiększył swą moc. Dlatego też wśród prymitywnych plemion cieszył się ogromną estymą. Ghan pokazywał mi więc figurki przedstawiające Pana Węży- Yga. Musicie uwierzyć mi na słowo, że figurka ta śni mi się po nocach do dnia dzisiejszego, taka była przerażająca. Wykonana była z malachitu, lub innego podobnego materiału i przedstawiała hybrydę człowieka z głową węża. Co ciekawe, Ghan powiedział mi, że wielu z jego wojowników cieszy się zaufaniem Yga, który obdarza ich swoimi darami. Wśród nich".

Tego już za wiele pomyślałem. Takie bluźnierstwa muszą zostać zniszczone permanentnie. I bez namysłu ta księga podażyła śladem swojej poprzedniczki. Wtem... coś się zmieniło... coś ulotnego, nie mam pojęcia co dokładnie. "To tylko piorun", pomyślałem "Pewnie nadciąga burza. Co do...".

Poczuł, że coś uderzyło go w kark, później już była tylko ciemność.

KONIEC